

Rozdział 1. URZEKŁA NAS TWOJA (...) HISTORIA

Salvador Messien wieczorkiem stał na zatłoczonej ulicy, pod murem kamieniczki, którą chodzili tylko zbawiciele ludzkości.

Rozejrzał się wokół i wyjął spod kurtki farbę w sprayu. Potrząsnął nią i zaczął pisać starannie transparent na murze. Kończąc usłyszał szelest i obejrzał się odruchowo. Dwóch rosyłych gości, jeden punk a drugi skin, naparło na niego. Spray wypadł na chodnik, w zrywie nagłej ucieczki. Szybcy i silni, współpracowali w ten sposób pewnie wiele razy. Jeden trzymał od tyłu pod ramiona, drugi walił pięściami w brzuch. Tracąc przytomność wraz z wydychanym powietrzem, osunął się na chodnik. By poczuć metalowe kopniaki glanów, niepohamowanych, jak seria z karabinu, rozrywające ciało z najwyższą brutalności furją. Krzyk tłumiony był w gardle, z którego wydobywał się jedynie skrzekliwy jęk bólu, potu, krwi i nadciągających konwulsji. Punk podniósł spray i podszedł do muru. Zamalował graffiti skopanego, i napisał coś po swojemu, po czym cisnął puszką za siebie. Messien leżał dalej, płacząc z bólu, i czekając aż ucichną w pustce wiatr. Ręce uginały się, nie mogąc utrzymać ciężaru jego ciała. Dyszał ciężko i znów opadł półprzytomny.

Kiedy wstał spoglądając na napis, postanowił odwrócić się i oprzeć, stojąc jak stał wcześniej. Za nim na murze na zapisanym nieznanym wcześniej hasle, czerwonym sprayem napisane było niedbale „Punx not dead!” Patrzył nieprzerwanie przed siebie, ale tak naprawdę, nie wpatrywał się w coś szczególnie konkretnego.

Miał on osiemnaście lat, długie włosy i beret. Na sobie czarne jeansy, obdarte i brudne, czarno - czerwony sweter w grube pasy, a na szyi chustę ze wzorem zebry. Na dłoniach fioletowe rękawiczki bez końcówek palców.

Stał z jedną nogą opartą o mur. W rękę nieruchomo trzymał kij basebalowy, ozdobiony naklejkami, nacięciami i gwoździemi, którego nie udało mu się pochwycić wcześniej. Uśmiechał się nienaturalnie szeroko. Zdawać się może, że od ucha do ucha. Czarna szminka zaznacza wyraźnie kąciki jego ust. To szminka, prawda?

Z jego lewej strony wybiegło pięciu z gangu Pierrotów. Wszyscy byli ubrani identycznie jak on. Krzyczeli i skakali mijając go. Messien stał tak niewzruszony, nawet nie mrugając. Pierroci przystanęli na jego widok. Podszepując, zaczęli go okrążać. Będąc coraz bliżej. Stanęli tuż przed nim, a ludzie wokół zaczęli się rozchodzić. Każdy gatunek potrafi przewidzieć swoją śmierć. Zerwał się wiatr potrząsając mrugającą latarnią. Latarnia zgasła.

Każdy z nich miał przy sobie jakiś gadżet. Jeden pałkę, inny łańcuch, trzeci brzytwę itd. W końcu jeden z nich coś powiedział. I nie był to Messien.

- Hej kum - kej kum. Chyba nie należysz do naszej społeczności dupku?

Pierrot na próżno czekał na odpowiedź.

- Mówię coś do ciebie, ty niewychowany ćwoku?

- Chcesz nas sprowokować? To ci się udaje! – Wtrącił drugi

- Dlaczego nosisz nasze stroje?

- Ja chyba wiem, kto to jest!

- Kto?

- To ten brudas, który zepsuł naszą siostrę. Ten krzywy grymas poznam wszędzie.

- No to masz przemodelowane, koleś. Dobrze, że akurat tędy przechodziliśmy.

- Ta jest. Mamy fart.

Cisza. Nikt nie wiedział, na co Messien czeka. Wydawało się, że w ogóle ich nie słyszy i nie widzi. Dopiero po dłuższej chwili, odważył się zrobić pierwszy ruch. Prostuje kij w dłoń, poruszając tylko nadgarstkiem. Miał on taką wyjątkową zdolność, że całe jego ciało mogło wykonywać niezwykle, nienaturalne ruchy. Jego twarz nadal pozostała niewzruszona. Przez chwilę trzyma go w taki sposób by lekko i znienacka uderza najbliższego stojącego. Trafił Pierrota w brodę. Uderzył z taką siłą, że głowa mu odskoczyła do tyłu i upadł na ziemię. Zaczął krzyczeć, nie z bólu, ale jakby zobaczył najbardziej przerażającą rzecz na świecie, przez którą wie, że zginie. Najdziwniejsze było to, że Pierrot, patrzył się w niebo, a nie na Messiena. I tak miało już zostać.

We wszystkich zebrala nienawisc. Messien wykonal kolejny ruch. Zaczal chichotać. Jego usta dalej wygladaly tak samo. Ruchy glowy byly minimalne i mechaniczne zarazem. Jego chichot zamienil się w pelen paranoi i hysterii śmiech. Po kilku sekundach zamilkł.

– To ty napisales to gówno na murze farbą?

Pierrot w rękawicach bokserskich podszedł i walnął Messiena w brzuch. Ten nawet tego nie poczul, a przynajmniej nie dawal tego po sobie poznac. Jednak jedna rzecz się zmienila. Grymas twarzy. O ile przedtem wygladal jak manekin, blazen, teraz jego usta przechylyły się z cala dlugoscia w dol, powodujac efekt “zlego goblina”. Messien zrobil maly krok do przodu. Kolejny Pierrot zaczal wywijac lancuchem, a on zaczal ponownie chichotać i podskakiwac w miejscu, jak male dziecko.

– Nie, ja napisalem Hitler Kaputt!

Kiedy tamci zachlysneli się śmiechem. W nieoczekiwanym momencie wyskoczyl wysoko, uniost kij ponad glowe i uderzyl kolejnego z taka sila, a z kija posypaly się drzazgi. Na glowie Pierrota pojawia się glębokie wgniecenie, a z ranek po gwoździach, zaczela wyplywac posoka. Nie tracac czasu walnal kolejnego, koncowka w brzuch. Miotajac się caly czas, skaczac i chichotajac nie przerwanie, w pelnym chaosie, agresji i absurdu pokazie. Pierrot z lancuchem probowal owinac go w locie wokol kija, ale ostatecznie kij znalazl się w jego przelyku. Pozostalych dwuch ucieklo.

Messien okrazyl lezacych. Jego usmiech groteskowo ukazyl przejaw zla. Nienawidzil tego. Nienawidzi z calego serca, gdy go zaczepiaja nieznajomi na ulicy, majacy do niego jakis problem. Tacy czuja się zbyt pewni siebie. Mysla, ze im nikt nie podskoczy. Mysla, ze ujdzie im to plazem, ze czlowieka nastrasza, bo jest ich wiecej, ale nie. Tu nie chodzi o to, czy ktos jest niski czy duzy, gruby czy chudy. Chodzi o poklady nerwow w kotlujace się w glowie. Chodzi o stres, i o jego wyladowaniu w formie agresji. Czasami te rzeczy decyduja o tym, ze mozna pod wplywem adrenaliny nie tylko pobic dwa razy wiecejszego od siebie. Ale takze go zabic.

Messien kopnal jednego w bok. Zaden reakcji. W tym przypadku, zabil w afekcie, az trzech. Chcial juz odejsc, ale w jego oczach zablysla lezaca na chodniku brzytwa. Podniost ja i studiowal przez chwile. Poczul, ze wpadl na genialny pomysl...

- La roi est mort. Viva la mort! – Krzyknal donośnie i pobiegl w dal.

Później. Teraz. Salvador Messien stoi przy murze obok śmietnika. Wokol niego jest ciemno. Nikt, kto by się nie wpatrywál, nie dalby rady go dostrzec. Salvador najpierw bada teren, dopiero później odpala papierosa. Był przeciez nieletni. Mial siedemnaście lat. Nie chcial, by przez przypadek ktos go podkablowl, przyjechalyby wtedy policja i zwineliby go prosto do rodzicow. A tego nie chcial. Nie chcial, by się dowiedzieli, ze pali, bo jego starzy to takie prukwy, ktore jak się dowiaduja, ze robisz cos nielegalnego, albo wbrew ich woli, to mozesz miec nawet czterdziestke na karku i miec areszt domowy. Nikt nie rozumie, ze papierosy koncentruja mysli i wywoლuja uczucie spokoju, bo Messien musi miec spokój do pisania poezji, bo Messien jest poetą, i w domu jej nie zazna. Oczywiscie, Messien tłumaczyl sobie to, ze jak skonczy upragnioną osiemnastkę to wszystko się zmieni. Wyprowadzi się na mieszkanko swojej babki, niezaleznie od tego, czy bedzie zyła czy nie. Wierzyl, ze gdy skonczy osiemnaście lat, wszystko juz nic nie bedzie takie same. Zmieni się ukłlad planet na niebie, ktos wyremontuje chodniki, w supermarketach ludzie dostana podwyżki, no i skonczy się w koncu “moda na sukces”.

Messien gasi zapalkę. Rozglada się czy aby nikogo nie ma, i dopiero wtedy wydmuchuje kląb dymu. Gdy z budynku naprzeciw, wychodzi jakaś osoba, nie ważne czy go zna czy nie, on chowa zaraz papierosa i ukrywa się jak wojownik ninja przed śmiertelnym wrogiem szukajacym zemsty. Gdy osoba ta przechodzi, nawet nie zerknawszy w jego strone, pali dalej. Osoba przysiadla na ławeczce. Messien odwraca się niepostrzezenie, czujac, ze to on podglada dilera albo kolesia, ktory czeka na panienkę. Zapatrzon w swego peta, nawet nie zauwazyl jak jakis starszy koleś w garniturku o malo na niego nie wlasł. Opierdolił go tylko soczyście. I dosłownie o malo się nie posral ze strachu, gdy poczul czyjś dlon na ramieniu. Znerwicowany zignorowal to, udajac, ze nie poczul, chociaz nie bylo to zbyt realne. Idzie przyspieszonym krokiem kawalek, i ukradkiem zerka przez ramie w ten sposob, zeby go nikt w razie, czego nie rozpoznal. Nie widzial zbyt dobrze.

Wszedł w jedną z naprawdę ciemnych alejek. Skrył się w mroku i palił.

Ahmed & Abdul wyglądał jak góra. Siedział w ciemnym dużym fotelu. Był potężnym stworem jak na człowieka. Miał szpetną mordę, a raczej dwie mordy zrosnięte ze sobą ustami. Miał dwa nosy i troje oczu, w tym jedno środkowe, zrosnięte, duże i rozłazłe, z wieloma nacięciami po skalpelach. Ahmed & Abdul byli syjamskimi braćmi.

Nasłuchują przez chwilę kłótnie swoich synów za ścianą. Ale bez wyraźnego sensu. Gdy głosy zaczęły być już mulące i rozmyte, Ahmed & Abdul, ojciec dwóch synów bliźniaków, ale nie syjamskich, stanął w drzwiach i czekał na chwilę, kiedy zwrócą na niego uwagę. Znaczy był duży do cholery, nie, że wyglądał jak jakiś cholerny Indianin.

Ojciec przemówił, gdy dostrzegł siedzącą na krześle kobietę.

- Chłopaki, co się dzieje, co?

- Tato, kłócimy się o kobietę, o której ci ostatnio opowiadałem. – Powiedział syn, noszący garnitur w paski. Ten drugi, miał skórzane spodnie i kurtkę.

- Wiesz, że tu jest problem, bo jesteśmy jak dwie krople wody.

- Może najprościej zrobicie, kiedy spytacie tą młodą damę, z którym z was chce być.

Dziewczyna się wyprostowała i obcięła wzrokiem najpierw jednego, potem drugiego. Aż obaj, jeden przez drugiego, zaczęli krzyczeć na nią, żeby wybrała jego.

- A więc, jak brzmi twoja odpowiedź? – Spytał ojciec przerywając kłótnie.

- Ja... Nie wiem.

- Świetnie. Jak nie wiesz, to ja tym bardziej, ale żeby moi synowie nie napastowali ciebie ani mnie już więcej, mam na to nieokiełznany sposób.

- Jaki? – Bracia A & A wyciągają pistolet. Jej skroń pulsuje, dotyka ją nadgarstkiem i wywraca białka oczu na drugą stronę. Potem drżącą ręką wcelowuje w twarz dziewczyny, i strzela jej w łeb. Sprawę uznał za rozwiązaną.

Ale A & A miał jeszcze córkę, nie podobną do nikogo. Nazywała się Mea. A & A sam chciał wybrać dla niej męża. Jak na razie wszystkich jej potencjalnych chłopaków zabierał w karawanie miły pan z zakładu pogrzebowego.

Salvador Messien usiadł na ławeczce niedaleko parku gdzie panowała pora "ciemno jak w dupie." Zastanawiał się jak działa wirus i dlaczego ten zawsze cię znajdzie choćbyś myślał, jak dobrze żeś się ukrywał. Z obu stron podeszli do niego Fiodor i Bazyli.

O Fiodorze można powiedzieć tylko tyle, że chodzi w kolorowych bez gustu strojach, nosi chujową, plenerską czapkę i okulary w grubych plastikowych, żółtych oprawkach. Koszule wsadza w gacie i podciąga ją pod pachy, że aż mu jaja wychodzą nogawką. W dodatku nosi szelki, i za duże gacie w porównaniu do spodenek. Każdy się domyśla, jak wygląda efekt za małych spodenek w stosunku do za dużych bokserów. W dodatku jego ryj wygląda jak wypadkowa bombardowania w Iraku i mysiego ryja.

O Bazylim natomiast nie można więcej powiedzieć oprócz tego, że jest małym wrednym chujem ubierającym się na czarno, chodzący nawet w lecie w burżujskim kozuchu, o którym to mówi, że go kupił w firmowym sklepie za trzy stówy, a tak naprawdę to kozuch jego dziadka. No i ma wiecznie przetłuszczone włosy. Nawet po wymyciu. To jego wada.

Wadą Fiodora jest na przykład to, że w życiu nie można poznać gorszego obrzydliwca. Raz jeden dostał na brodzie potężnego białego pryszcza, który przez kilka dni nie chciał mu zejść z mordy. W końcu po pewnym czasie, na jego miejsce pojawił się usyfiony żółtą ropą plaster. To jeszcze nic, ten syfiarz cały czas dosyć, że wydłubuje owe syfy spod paznokci, to nawet na nogach miał takie białe, wypełnione majonezem, że jakby w kogoś wystrzeliło to mogłoby komuś oko wyłupać. No i oczywiście o plecach lepiej nie wspominać. Wygląda jak pole ryżowe widziane oczami helikoptera. Wszyscy podejrzewali, że jak śpi i przewraca się z boku na bok, to jak te pryszcze strzelają mu przez nacisk na podłoże, to myśli, że gnojki za oknem petardami strzelają.

- Cześć Brudasy. – Zagaił Messien.

- O co ci chodzi? – Fuknął Bazyli – jesteśmy chyba najczystszyimi osobnikami w tym mieście,

a to za sprawą tego, że myjemy się jak koty.

- Ale wiesz, że jakbym cię wyrzucił z okna to nie byłoby morderstwo z premedytacją, ale zwykły, nieszczęśliwy wypadek?

- A tak do rzeczy, to mamy pewne nowinki, które mogą cię zainteresować.

- To zależy, czy gra jest warta świeczki i za jaką kwotę w to wejdę. – Przedrzeźniał się.

- Nie dużo. Dychę.

- Jeśli tylko dychę to nie dużo, bo jakby kwota była przyzwoita, to i info byłoby przyzwoite, a jeśli chodzi o dychę, to lepiej sobie śmieciami nie zaprztać głowy, bo za tyle, to informacje są gównie warte.

- Wiesz, że Rimbaud był pedałem?

- To jest ta twoja genialna nowinka?

- No niezupełnie.

- To gadaj w końcu, o co chodzi.

- Znam kogoś, kto ma książkę z jego autografem. Serio. Nie kituję.

- Tak. I co ja mam z tym niby zrobić? Mam dość takich pierdół na kółku literackim.

- Przecież uwielbiasz poezję...

- Czy to znaczy, że jestem łowcą autografów? Nie kurwa. Czyjaś parafraza nie znaczy.

Przynajmniej dla mnie. Stare antyczne wydania także nie. To słowo się liczy. No już, zjeżdżcie mi z drogi, bo was zdieję. – Messien nie zastanawiając się odpalił kolejnego papierosa.

- Podasz jakiś przykład?

- Jaki przykład?

- No pierdół z kółka literackiego.

Messien zamilkł. Zaciągnął się kilka razy kolejnym papierosem i powiedział.

- Każą mi przestać przeklinać. To nienormalne. Mam wstawiać w mowie pisanej i mówionej w każde brzydkie słowo, jakieś inne. Na przykład "kartofelek". Jak to, kurwa, w ogóle brzmi?!

Kiedy do kolesia zamiast "wypierdalać, bo cię wjebię", powiem "kartofelek, bo cię kartofelek?.

Pomyślą, że jestem "kartofelek" ... kurwa, to jest "popierdolony"!

- Nic z tego nie rozumiem.

- Nie martw się, z początku nikt nie rozumie nowoczesnej poezji. Teraz cicho. Muszę się skupić. Zaraz idę do pracy, a wpierw muszę się ogarnąć.

Dużo później. Teraz. Przed pracą. Salvador Messien stoi przed lustrem nad umywalką w swoim zagraconym małym mieszkanku. Przygląda się odbiciu. Stoi rozebrany do pasa i mówi na głos, jakby ćwiczył teatralną kwestię:

– Oż kurde! Czego mi nikt nie powiedział, że jestem taki przystojny?!

Messien uśmiecha się nieznacznie. Dotyka twarzy, brody, zaczynając się śmiać tym swoim obłąkańczym śmiechem. Zjeżdża dłonią do klatki piersiowej, i zaczyna się śmiać jak orangutan. Po chwili przestaje i mówi do siebie: Ja tak naprawdę to nie jestem taki zły. Ja tylko nienawidzę swoich rodziców, zabijam każde napotkane na swej drodze zwierzątko i podoba mi się to, co Niemcy robili z żydami w Oświęcimiu. Śmieszne to było.

Nakłada na szczoteczkę pastę i zaczyna szorować zęby. Lekko podryguje ramionami. Spluwa donośnie w lustro. Przemywa twarz i wyciera ręcznikiem, i przeciera lustro: Poza tym trzeba dać nauczkę tym wszystkim parszywcom. No i nie lubię jak się mnie wkurza.

Patrzy na znajomą brzytwę, leżącą na umywalce. Podnosi ją i ogląda. Patrzy w lustro.

- Mój uśmiech jest zbyt mały. Zbyt mało przerażający. Może by go rozszerzyć nieco?

Messien przykładą brzytwę do kącików ust i zaczyna je podcinać. Zaczyna się i krzyczy.

Przykłada rękę próbując zatamować krwotok. Spluwa krwią, rozmazując ją na twarzy.

- Czego mi nikt nie powiedział, że to będzie tak kurewsko boleć. Kurwa. I co ja teraz zrobię?!

Uśmiecha się. Zaczyna się śmiać pełnym głosem. Przecina swoje policzki, aż do uszu.

Jestem ohydny, gryzą mnie pchły, śmierdzą będąc niemyty, czując swój smród. Moja twarz jest jak zasuszona kupka. Wszystkie grymasy mej twarzy tworzą ją wręcz karykaturalną. I już

wiem, że nie zostanę wybrany na mistera świata, choćbym zabił bądź przekupił wszystkie szczyty tego świata. Moje ręce są jak druty. Moje ciało jest jak ciało trupa. Jednak mimo tego zamyślenia, wiem, że dostałbym na pewno rolę męczennika w obozie koncentracyjnym. A już taka rola byłaby powszechnie znana i zapamiętana, jak nie noblem okiełznana. Jestem wrednym obrzydliwcem, roześmianym masochistą, jestem świrem, obłąkańcem, żydem. Może zasłużyłem uczynkami, na tą wielką może karę, będąc potępionym w trzech wymiarach, ale tego pragną ludzie. Może nie wyglądam jak sam bóg, ani diabeł, ani sam ideał świata. Wiem, że nim nie jestem, a nie nim dziś nie zostanę. Może, gdy umyję swoje ciało, nie dostanę dziś wymiotów i choć trochę będę miał nadziei. Patrzcie na mnie oto ja, Salvador Messien, idący na spotkanie z ludźmi, których zniszczę moim obrazem, moim słowem oraz gestem. I sam Manson, Hitler, Bundy oraz Fritzl się pokłonią, a Zbawiciel będzie patrzył, na mnie z nieba i wygrażał w swym języku swe pogróżki. Lecz ja mu z miejsca fuck you pokazuje, bo mnie nigdy nie posiadzie, a sam diabeł pod pokrywą ulic naszych obserwuj, dysząc cicho, myśląc o okiełznaniu mnie przeciwko bogom. By w tym świecie, naszym ziemskim, zapanował szerzej swoim złem. Bo ja jestem jakby mrokiem, kłamcą człowieczeństwa wszem i wobec. Choć nie wszystko, co ja mówię, może być prawdziwe. Uznam się za klauna, który swym uśmiechem, nie rozśmiesza, ale męczy, straszy i przeraża. Jestem klaunem. Oto nos mam na swej twarzy, wielki i okrągły, od przyjaciół go dostałem, i nie zdejmę go już nigdy. Jednak nie jest to końcowy efekt, który ich powali.